

Katarzyna Ryrych

## GościNNOŚĆ

---

Stoję w windzie i gapię się w lustro. Pięknie, po prostu pięknie. Synek wraca ze szkoły. Kaptur od bluzy urwany (swoją drogą, kto mógł przewidzieć, że właściciel wda się w bójkę), oko lewe zapuchnięte, warga rozcięta.

A zachowanie wzorowe i same piątki z góry na dół. Ideal.

Ojciec zrozumie, ale matka...

– A ty co taki smutny, a? – pyta Luba.

Tak po polsku mówi, że gdybym mógł, tobym ryknął śmiechem. Ale nie mogę. Warga.

– Ty bohater jesteś. Wiesz?

I gapię się na mnie tymi niebieskimi oczyskami, a ja widzę siebie w stroju Supermana na dachu jakiegoś wieżowca.

No i trochę mi lepiej.

– Chcesz lizaka? – pytam, a wargi mam jak dwie parówki, spuchnięte i drewniane.

Luba kiwa głową.

Lizak trochę się w kieszeni odwinął, oblepił się jakimiś paprochami, ale to zawsze lizak. Luba wsadza go sobie do buzi, pod policzek.

– O – mówi – i mnie też spuchło.

– Nie „mnie spuchło” – poprawiam ją – ale też jestem opuchnięta.

– Też jestem opuchła – powtarza posłusznie.

Stop. Dziesiąte piętro. Żeby tylko matki nie było... Zaciskam palce, jakby to miało w czymś pomóc.

Podziałało! W domu tylko babuszka. Znaczy – babcia Luby, która razem z nią uciekła z Irpienia.

No i kotka jest. Taka inna jakaś. W takim kolorze jak moja biała koszulka, kiedy wyprałem ją razem z dżinsami.

– Ojoj! – Babuszka łapie się za głowę. – A co to się podziało?

Milczę. Przecież nie mogę opowiedzieć, bo nawet nie wiem, od czego zacząć.

– To mój bohater – woła Luba i biegnie do łazienki.

Wraca z ręcznikiem, woda leje się z niego na podłogę, ale ktoś musi opatrzyć bitewne rany. Zatem siedzę na fotelu, mokry ręcznik na twarzy, woda leje się za bluzę (a raczej za to, co z niej zostało), dżinsowa kotka też chce mieć udział w pierwszej pomocy, bo już władowała mi się na kolana, a ja cierpię w milczeniu.

– Jak on się bije, babciu, taki silny i dzielny jak...

Urywa, a ja wiem, co chciała powiedzieć. Jak jej tata, co został razem z psem, który wabi się Mur, Murczik, owczarkiem niemieckim tak wielkim, że kierowca nie pozwolił, żeby zabrać go do autobusu.

Za tym psem Luba popłakuje, bo był mądry i łagodny jak kotek.

Teraz kolej na babuszkę, uwalnia mnie od ręcznika, ale smaruje mi wargę białkiem, bo to zawsze pomaga.

Przymykam oczy.

Myślę sobie, że wszystkie babcie są takie same, moja też miała swoje sposoby, a to na ugryzienie pszczoły czy osy, a to na skręconą nogę.

– Siedź, siedź! – Babuszka grozi mi palcem. – Ja zaraz obiad podam.

Babuszka i Luba mieszkają z nami od dwóch tygodni. A jest tak, jakby były zawsze. Kiedy się porobiło tam za granicą i ludzie zaczęli przyjeżdżać, czym się dało, matka zaraz zabrała się za porządkowanie pokoju babci, który stał pusty prawie od roku.

– To trzeba serca nie mieć – powiedziała wtedy ciotka. – Nasza biedna matka w grobie się przewraca.

– To trzeba było ją wziąć do siebie – odpowiedziała wtedy matka – do tej twojej willi.

No i dowiedziała się, że nie mogła, bo wszyscy pracują, i kto siedziałby z babcią. Jakby zapomniała, że moja matka też pracuje.

Babcia mieszkała z nami sześć lat i nie było żadnego kłopotu i nawet zabierałem ją na spacer. Popychałem wózek, a kiedy siadaliśmy na ławce w parku, opowiadała mi różne historie o tym, jak to było, kiedy miała tyle lat, co ja.

To były naprawdę ciekawe historie. Aż trudno uwierzyć, że mało kto miał telewizor czy telefon, a komputer to było jakieś science fiction.

Kiedy babcia umarła, zrobiło się nagle cicho i pusto, i tylko pokój wyglądał tak, jakby za chwilę miała do niego wrócić.

Kiedy matka zaczęła tam wszystko układać, sprzątać, prać i prasować, zrobiło mi się trochę dziwnie, bo to było tak, jakby babcia umarła po raz drugi. Po kilku latach.

No i jak wszystko było gotowe, matka powiedziała, że będziemy mieli gości i od razu sobie to skojarzyłem z tym, co się dzieje w Ukrainie.

Tak pojawiła się u nas babuszka z Lubą. Kiedy ojciec przywiózł je z dworca, to natychmiast poszły spać i spały całą noc i cały dzień, i gdyby nie ja, to ich kotka chodziłaby głodna. Nakarmiłem, zorganizowałem pudełko z piaskiem i chociaż nigdy nie przepadałem za kotami, ta znalazła na mnie sposób. Po prostu włożyła na kolana, zwijała się w kłębek, a kiedy ją chciałem zrzucić, to patrzyła z taką pretensją, że robiło mi się głupio.

A jak babuszka i Luba odpoczęły, zaczęło się życie.

Luba od razu przykleiła się do mnie i też głupio byłoby ją przeganiać. Tylko kiedy siadałem do lekcji, szła do swojej babci, bo wiedziała, że nie wolno mi przeszkadzać.

Siedzę w fotelu i czuję jak warga przestaje boleć. Znaczący – sposób babuszki działa. A Luba usiłuje mnie zabawiać.

– Zatańczyć ci? – pyta.

Dzieciak zdolny, tam u siebie chodziła do jakiejś szkoły i robi to naprawdę fajnie. Drobi na palcach, podskakuje.

A potem siada na wersalce i nagle zasypia. Się nie dziwię, że zmęczona. Dzień pełen wrażeń.

– A ty powiesz, co się stało/ – pyta cicho babuszka.

– A takie tam – odpowiadam. – Jak się ktoś prosi, żeby mu przylać, to w końcu dostanie.

Jakbym opowiedział z detalami, to byłoby jej przykro.

– Prawda – mówi babuszka. – Bić się niedobrze, ale czasami trzeba.

I wzdycha. Wiem czemu. Jej syn „bije się” w Ukrainie, a synowa opatruje rany tym, którzy „się biją”. Jednym i drugim, tak mówi babuszka, bo ranny to już nie żołnierz, tylko po prostu człowiek.

Babuszka nie ma o to pretensji, chciałaby, żeby to się skończyło, żeby mogły wrócić do domu, bo przecież wiosna, czasu szkoda – przy domu ogródek, grządki trzeba przygotować – jak to

wszystko się zmarnuje, chwastami pozarasta? I widzę, że babuszce szkoda tej ziemi, jakby to żywe stworzenie było.

– Ziemia żywa – mówi babuszka – i życie daje. Za poprzedniej wojny to od nas ziemię wagonami wywozili. Nasza ziemia – nasze dobro.

Coś w tym jest. Muszę powiedzieć matce, żeby kupiła skrzynki na balkon, to babuszka będzie mieć swój ogród.

To nie wydatek.

No właśnie.

Zaczął się od tego, że Bartek zapytał, ile dostajemy na naszych Ukrow. Bo podobno będzie jakaś kasa.

I jego starzy już planują, jakby zaadaptować poddasze.

Bardzo mnie to zabolalo, bo babuszka i Luba były już po prostu nasze. Miał kto obiad ugotować, i to pierwsza klasa, i jak patrzyłem na te pomarszczone ręce babuszki, to się zastanawiałem, jak ona te pierogi tak równo klei. I to naprawdę dużo pierogów, bo sąsiedzi z naszego bloku zaczęli przychodzić i pytać, czy nie zrobiłaby i dla nich, oczywiście za opłatą.

Babuszkę to strasznie ucieszyło, bo powiedziała, że to nieprzyjemne, jak się tylko od kogoś bierze, a nie ma co dać, i że to będzie jej wkład w nasz budżet.

Oczywiście Bartek się o tym od kogoś dowiedział i puścił plotkę, że robimy kasę na cateringu. To jeszcze dało się znieść, ale jak się zaczął wymądrzać, że przez tych uchodźców to będziemy musieli z naszego kraju uciekać, a jeszcze wcześniej zostaniemy przez nich bezrobotni, to się go zapytałem, czy oni tak dla przyjemności zostawili wszystko i przyjechali, żeby jego ojcu robotę odebrać.

No i trafiłem w czułe miejsce, bo kto jak kto, ale jego ojciec do żadnej pracy się nie palił, matka zasuwala na dwa etaty.

Gdyby nie dzwonek na lekcję, to pewnie pobilibyśmy się wcześniej, ale to miało swoje dobre strony, bo przynajmniej wiedziałem, co mnie czeka po szkole.

No, żeby było jasne – ideał ze mnie żaden, ale bijatyki nie mój styl, ostatni raz przyłożyłem komuś w piaskownicy i... co odkryłem ze zgrozą, kiedy przypomniałem sobie wszystkie detale – to był Bartek.

Po sposobie, w jaki na mnie spoglądał, domyśliłem się, że on też pamięta.

Trudno, pomyślałem.

A potem zdałem sobie sprawę, że przecież po szkole muszę zabrać Lubę, która od kilku dni chodziła do pierwszej klasy.

Zazwyczaj zabierała ją moja matka, ale akurat tego dnia załatwiała jakieś papiery dla babuszki. Dziwne. Jeszcze kilka miesięcy temu za nic bym się nie zgodził, aby zajmować się jakąś smarkulą, ale coś się pozmiało.

Po prostu chyba zobaczyłem to wszystko inaczej.

Wojna w Ukrainie zaczęła się dokładnie w urodziny mojej matki. To znaczy, dowiedzieliśmy się wszystkiego z radia.

No i matka natychmiast zaczęła działać. Nie zdawałem sobie sprawy, czemu nagle uporządkowała pokój babci, bo po prostu nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby tam zamieszkać.

No i pewnego dnia, kiedy wróciłem ze szkoły, ojciec położył palec na ustach, wskazując ruchem głowy pokój.

– Mamy gości – powiedział, kiedy znalazłem się w kuchni. A tam na oknie siedziała dzinsowa kotka i przyglądała się latającym za oknem ptakom.

No i ojciec wyjaśnił mi, że zamieszkała u nas starsza pani z wnuczką. Bo uciekły przed wojną i gdyby nie my, pewnie spałyby na dworcu.

Po prostu tam, u siebie, wsiadły do autobusu, a potem do pociągu i pojechały w nieznane. Byli i tacy, co mieli kogoś, kto na nich czekał, ale nie one.

Wsiadły na dworcu i zaczęły czekać. Na cud.

Zaraz mi się przypomniało, jak moja babcia opowiadała o wojnie, tej ostatniej, i jak to uciekali ostatnim transportem na wschód. I zawsze kończyła na powidłach śliwkowych – bo rodzina, u której znaleźli schronienie, miała ogromny sad i tego dnia, kiedy dotarli do domu, ktoś smażył powidła.

Ale tamta wojna była dawno temu i w ogóle mi się wtedy wydawało, że takie coś to już jest historia, bo mieliśmy dwudziesty pierwszy wiek i ludzie powinni dawno zmądrzeć.

A tu – pomyłka.

Oczywiście, że poczułem się co najmniej dziwnie – zabrać do domu obcych ludzi? Tak po prostu, z pociągu? I mało brakowało, a zgodziłbym się z ciotką, tylko kiedy z pokoju wyszła Luba, taka malutka i wcale nieprzestraszona, wszystko mi się poprzestawiało.

– Ja Luba – oznajmiła – a to – wskazała palcem kotkę – Lusia. A ty?

– Tomek – powiedziałem.

– Tomik – powtórzyła i zagadała coś do kotki w języku, który brzmiał jakby znajomo, ale nie zrozumiałem ani słowa.

Za to mój ojciec dogadywał się z nią doskonale. Podobnie z babuszką, która wstała dopiero późnym popołudniem.

– Cztery dni w drodze – wyjaśnił mi ojciec – trochę pieszo, trochę autobusem, byle się dostać do pociągu.

Przypomniałem sobie opowieści mojej babci i przyszło mi do głowy, że tak naprawdę to nic się nie zmieniło, że ludzie zawsze będą tak samo uciekać przed wojną, a wojny jak były, tak i będą. Że ludzie żadnych wniosków nie wyciągnęli.

W szkole, jak gadaliśmy między sobą, to się okazało, że jest więcej takich jak ja – to znaczy, że u wielu mieszkają jacyś ludzie i w sumie jest fajnie, bo coś się dzieje.

Mówiło się tylko o tym, wszystko inne, nawet wirus, zeszło na dalszy plan. Czyjaś siostra gotowała zupę dla uchodźców, czyjś brat był wolontariuszem na dworcu, ktoś tam zbierał jedzenie dla ludzi i dla zwierząt, no po prostu jakby wszyscy byli na tej wojnie.

Pierwsza pękła Marta, bo wydawało się jej, że zaraz się ze swoimi gośćmi zaprzyjaźni i nie bardzo jej to wyszło. No i nagle wszyscy zaczęli mówić o tym, że coś nie pasuje, a najwięcej miał do powiedzenia Bartek.

Że nam – to znaczy naszym rodzicom – pracę zabiorą, że mogą sobie tramwajami bez biletów jeździć, że wszyscy im pomagają.

Przyszło mi do głowy, że Bartek sam tego nie wymyślił, tylko musiał usłyszeć od dorosłych, bo nigdy nic go nie interesowało. Może miał pecha, bo słuchał niewłaściwych dorosłych?

Ale jak się to raz wylało, to każdy musiał coś dołożyć. Że w klasach będzie nas za dużo, że oni mają zajęcia za darmo, takie pozalekcyjne, że na instrumentach grać mogą, jak ktoś grał, czy do sekcji sportowej się zapisać, jak był dobry w sporcie. No i jak zawsze Bartek najwięcej pyskował, chociaż nie zajmował się ani sportem, ani muzyką.

– A tobie to w czymś przeszkadza? – zapytała Iwona. – Znaczący w sensie, że tobie zabiera miejsce? Jak nie, to się zamknij.

Taka była Iwona, waliła prostu z mostu i nie patyczkowała się z nikim, nawet z Bartkiem. Miała to po swoim ojcu, który ją wychowywał, jak mówili moi rodzice, twardą ręką. Ale nigdy nie słyszałem, żeby się komuś skarżyła.

Do Bartka, oczywiście przykleiło się kilku frustratów i wszyscy grali na jedną nutę – i to wyglądało tak, jakby każdy każdego chciał w tych pretensjach przebić.

No i w końcu przebił. Kacper, którego ojciec jeździł taksówką i namówił kilku kolegów po fachu, żeby pojechali z nim do Przemyśla, wozić ludzi.

Podjeżdżali, a jak się ludzie znaleźli, to mówili, że zawiozą za darmo, no i jak byli już dość daleko, to informowali, że wiozą za darmo, ale za paliwo trzeba zapłacić...no, sporo żądali.

A paliwo to przecież opłacali ludzie, wolontariusze.

Jedna kobieta nie miała tyle, to dołożyła pierścionek.

Powiem prosto – strasznie było tego słuchać. A najgorsze, że słyszałem całkiem podobną historię też także od kogoś innego.

I jakoś nie mogłem sobie z tym dać rady.

O trzeciej wraca moja matka, słyszę, jak ktoś pomaga jej coś wynieść z windy, więc to daje mi czas na ewakuację. Psiakość, przez to, co się dzieje, zaczynam używać dziwnych słów, zupełnie jakbym był na wojnie.

– Babuszka – mówię, wycofując się taktycznie do swojego pokoju – powiedz, że śpię.

Babuszka się uśmiecha. To ona wymyśliła, żeby mówić do niej „babuszka”. Babuszka Nina. Że tak będzie dobrze, nam wygodnie, a ona się poczuje po domowemu.

Wpadam do siebie, prosto na łóżko, twarzą do ściany, naciągam koc po same uszy. I wtedy przypominam sobie, że na oparciu krzesła została moja bluza.

Czyli wpadłem. Mogę tylko liczyć na cud...

I cud się wydarza. Drzwi uchylają się i do pokoju cichutko wchodzi Luba. Kładzie coś na krześle i wiem, że to moja bluza. Ale nie mogę jej podziękować, bo przecież śpię.

Tymczasem...

– Ajajaj, toż to cały ogród – woła babuszka i domyślam się, że matka kupiła skrzynki i ziemię. A może nawet coś jeszcze.

– Jak to wszystko ustawimy na balkonie – mówi moja matka – to dopiero będzie ogród.

Otworzyły okno, bo czuję zapach świeżego, trochę chłodnego powietrza. Wstaję cicho, cichutko, łap za bluzę i pod koc.

Teraz trzeba będzie to pozszywać, choć nie jestem do końca pewien, czy to możliwe. Ale zobaczymy.

– Nie, nie, on już zjadł obiad – kłamie babuszka jak z nut.

Jakbym mógł cokolwiek wziąć do ust. Zaraz, zaraz... jakby mniej bolało. Gdy przycisnę palcem, to owszem, ale samo z siebie, tak jak przedtem, to już nie.

Tak czy inaczej, rodzice zobaczą w końcu moje bitewne rany, podobnie zobaczą je wszyscy w szkole.

No i co ja powiem? Że mnie ktoś napadł? Bzdura, nie miałby powodu, nie noszę firmowych ciuchów, nie mam najnowszego modelu komórki.

Chyba że spadłem ze schodów.

Ja? Z jakich schodów?

Nie. Trzeba będzie powiedzieć prawdę. Mam jakąś dziwną pewność, co stanie się potem.

Ojciec powie, że miałem rację (choć nie pochwała bójek), matka się zmartwi (może zechce mnie przenieść do innej szkoły?), ciotka, jak się dowie, to zaraz wszystko zwali na naszych gości – że gdyby nie oni, to...

Tylko że ta cała historia z Bartkiem i taksówkarzami jest po prostu obrzydliwa.

Czekał na mnie w szatni. W szatni dla pierwszaków. Wiedział, że będę musiał tam zejść, żeby zabrać Lubę.

Chciałem przejść obok i wtedy chwycił mnie za bluzę. Okręcił sobie kaptur dokoła ręki i poczułem, jak brakuje mi tchu.

To nie miała być zwyczajna bójka – przepychanka, kto kogo, no, czasami krew poszła z nosa. Ale Bartek miał w oczach prawdziwą nienawiść. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego.

Cudem uniknąłem zderzenia z jego pięścią. A potem coś się ze mną stało. Nawet nie słyszałem wrzasków stojących dokoła nas chłopaków i pisku dziewczyn. Jak oprzytomniałem, Bartek leżał na podłodze i zwijał się z bólu. No, trudno, żeby go nie bolało, skoro dostał w żołądek.

Chciałem go uderzyć i to też było obrzydliwe. Ja, który nigdy nie dostałem w skórę, z którym się rozmawiało jak z dorosłym.

Takie zasady panowały w naszym domu i dlatego nie mieściło mi się w głowie, jak ojciec Iwony może bić swoją córkę.

A sam nagle pobiłem kogoś.

Dobrze, zacznę od tego, że Bartek powiedział, że dorabiamy się na naszych gościach. Że puścił po klasie taką kartkę, na której powypisywał, ile nam zapłaci. Tysiąc dwieście i pięćset za Lubę. No i te pierogi, i miedovik. Że sobie mój stary dobrze to wykalkulował. No i gdybyśmy mieli większe mieszkanie, to moglibyśmy wziąć jeszcze kogoś.

Podał tę kartkę i przyglądałem się, jak wędruje z ławki do ławki. Jedni się śmiali, inni nie. I nagle to zaczęło być dla mnie ważne.

Leżę i słyszę jak matka, babuszka i Luba szurają skrzynkami, czuję zapach zupy pomidorowej, zaraz zacznę się ślinić jak pies, głodny jestem wściekle.

Na balkonie trwa zakładanie ogrodu (a jest zimno), matka jeszcze wyjaśnia, że jak jest kot, to balkon trzeba osiatkować i jutro się to zrobi.

Teraz rozumiem, dlaczego Luscia protestuje w łazience.

To dla twojego dobra, głupi kocie, żebyś nie skoczył za jakimś ptaszkiem. Luba ma tylko ciebie, skoro Murczik został tam, daleko.

Nagle zaczyna do mnie docierać, że ta wojna jest nie tylko tam. Że to nie jest tylko tak, że ktoś na kogoś napadł, bez powodu i bezkarnie, i robi co chce.

Że ta wojna jest u nas w szkole i w mieście, i w domu, bo przyjechała w walizce babuszki, że jest w pokoju i wyłazi z telewizora, że siedzi w łazience i w kuchni.

I nikt nic nie może zrobić.

Gdyby nie ona, pokój babci dalej by stał pusty. Gdyby nie ona, nie miałbym siniaka pod okiem. Przecież, pomyślałem, siadając na łóżku, ja też jestem ofiarą tej wojny. Dostałem, że tak powiem, rykoszetem.

I w takim nastroju wychodzę na korytarz, gdzie wpadam prosto na mojego ojca, który właśnie wrócił do domu.

– A coś ty robił?

Ojciec jest naprawdę zaskoczony. Bierze mnie pod brodę i odwraca moją głowę to w prawo, to w lewo, zupełnie jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

Tylko poczucie humoru może mnie uratować, myślę, i odpowiadam, że byłem na wojnie.

– Sprawiedliwej czy niesprawiedliwej? – pyta.

Mogłem spodziewać się czegoś podobnego. Cały ojciec.

– *Bella iustum* – ciągnie ojciec. – Wojna obronna. Kiedy ktoś jest zmuszony odpowiedzieć na agresję.

– Uhm – odpowiadam. – To była wojna sprawiedliwa.

Ojciec zdejmuje kurtkę i buty, idziemy do pokoju.

Siadam naprzeciwko niego i zaczynam opowiadać. Aż dziwię się, że potrafię wyjaśnić wszystko po kolei.

Że gdyby chodziło o mnie, to jeszcze bym to jakoś przełknął. Ale Bartek poszedł po całości. Postawił nas w jednym rzędzie z ojcem Kacpra. Z tymi wszystkimi, którzy mieli za złe, że ktoś dostaje coś za darmo.

Opowiadam, a ojciec kiwa głową.

– Nie pochwalam, ale rozumiem – mówi na koniec. – A wydawało mi się, że...

Spogląda w stronę kuchni.

– Że...? – zawieszam głos.

– Że coś się zmieniło – odpowiada.

Matka wychodzi z pokoju i robi się blada jak kreda.

– Co... – zaczyna.

– Nic – odpowiadamy chórem, jakbyśmy się umówili.

– Ale ty... Na miłość boską...

– Czuję pomidorową – mówi ojciec.

Jem powoli, staram się nie krzywić, bo matka nie spuszcza ze mnie oczu. Oj, rozmowa z nią będzie trudniejsza. Chyba że powiem ojcu, aby wszystko opowiedział.

– Ciocia – Luba łasi się do mojej matki jak kotek – a ty nie nerwuj się na Tomika. Tomik gieroj. Gieroj, czyli bohater. Nie powiem, jestem trochę dumny. Trudno zostać bohaterem w oczach kogoś, kogo ojciec walczy, i to inaczej niż ja, ze znacznie gorszym przeciwnikiem...

Luba idzie zająć się układanką, jaką dostała od kogoś w szkole, a babuszka drzemie z Lusią na kolanach. Ma taką pogodną twarz, jakby śnił się jej ogródek pełen warzyw i kwiatów.

– Przylałem Bartkowi – mówię – i jest mi trochę przykro. Ale miałem rację. Zresztą to on zaczął. I wolałbym nie mówić, o co poszło.

– Ja wiem – wspiera mnie ojciec – nie pochwalam, ale nie mógł inaczej. *Bella iustum*.

Matka patrzy na nas z niedowierzaniem, zupełnie jakby podejrzewała jakiś spisek, ale na szczęście wtrąca się Luba.

– O – mówi, kładąc na stole książkę, na której zaczęła układać puzzle – tu nie ma, brakuje.

Układanka składa się z sześciu elementów, a przynajmniej powinna, a jest ich pięć.

– Nie zgubiłaś? – pyta mama, a Luba kręci głową.

I nagle robi mi się przykro, piekielnie przykro. Nie wolno dawać komuś czegoś, co jest zepsute, niekompletne. To tak, jakby ktoś miał to wyrzucić, a potem się rozmyślił i zrobił z tego prezent. Brzydki prezent. Że niby jest taki dobry, taki szlachetny.

Czy Luba nie zasługuje na to, aby mieć fajną, nową układankę?

– Zostaw to – mówię. – Jutro dam ci inną, gdzie wszystko będzie.

– A to? – pyta Luba. No tak, układanka należy do niej, jakakolwiek by nie była.

– Pokaż to. – Matka przygląda się rysunkowi. – Zaraz coś z tym zrobimy. Tomek – zwraca się do mnie – przynieś mi nożyczki, mazaki, sztywną kartkę z bloku.

Matka pracuje w przedszkolu i ma pełno takich rzeczy u siebie na półce. Przynoszę, co chciała, i patrzę, jak wycina brakujący kawałek, a potem koloruje rysunek.

A Luba patrzy na nią z podziwem. Widzę, jak moja matka urasta do rangi bohaterki, ale nadal jest mi przykro.

– Jak tak można – mówię, kiedy matka prowadzi Lubę do łazienki, żeby się umyła i przebrała w piżamkę.

– Można, można – odpowiada ojciec. – Ludzie czasami nie pomyślą, a przynajmniej tak chciałbym to widzieć. A czasami sobie myślą, że jak ktoś stracił wszystko, to można dać mu byle co. Że to byle co go ucieszy. Powinno być inaczej.

I nagle zaczynamy rozmawiać jak dorośli. O tym i o innych rzeczach. Zawsze rozmawialiśmy o mojej szkole, o jego studentach, o tym, co będziemy robić w weekend. A tu nagle...

– Wiesz, tato – mówię i staram się, żeby mi głos nie drżał, ale to trudne – gdybyśmy tak musieli uciekać z własnego domu... a ty byś został. To ja z tobą.

Ojciec szuka czegoś po kieszeniach, aha, tylko udawał, że przestał palić. A może to trik, żeby przypadkiem czegoś nie zauważył.

– Mam nadzieję – odpowiada – że do tego nie dojdzie. Na razie jeszcze nie jesteś pełnoletni, ale gdybyś był dorosły, uszanowałbym twoją decyzję.

Ale mimo wszystko nie wyobrażam sobie mojego ojca w mundurze. Wykładowca filozofii na wojnie?

I żeby zakończyć jakoś rozmowę – bo on chyba by chciał – mówię to głośno.

– A może obaj panowie – w kuchni pojawia się matka – pogadają o tym, co syn filozofa powie jutro w szkole?

Chyba jest trochę zła, że rozmawiałem o tym z ojcem, nie z nią.

– Prawdę – odpowiadam i czuję, że nagle opadł ze mnie strach przed Bartkiem, że on już wie, żeby trzymać się ode mnie z daleka.

I jest mi trochę głupio, że sobie wywalczyłem spokój ręcznie. Ale czasem trzeba zejść do poziomu innych, żeby zrozumieli. I żeby się przed nimi obronić.

Kiedy zamykam za sobą drzwi mojego pokoju, nie ciągnie mnie, jak jeszcze wczoraj, do komputera. Dziwne, jakoś mnie nie ciągnie. Patrzę w okno i widzę sąsiedni blok. Sylwetki ludzi w oknach. Ktoś wyszedł na balkon.

I nagle przychodzi mi coś do głowy.

Włączam komputer i drukarkę. Wyjmuję z szuflady papier.

Zadrukowane kartki chowam do kartonowej teczki, teczkę – do plecaka.

Wszyscy w domu już śpią, tylko Lusia siedzi na krześle w kuchni i mruczy. Jej mruczenie zagłusza tykanie zegara.

„U nas w każdym domu kot” – tak powiedziała Luba. No to teraz tu jest ich dom.

Rano spogląda na mnie z lustra obita gęba chuligana. To przychodzi mi do głowy, kiedy mrugam do siebie okiem – tym w niebiesko-zielonej obwódce. I krzywię rozciętą wargę. Już się na niej uformował brązowy strup.

Nie takie rany odnoszą ludzie.

Wychodzę z domu wcześniej niż zwykle, rodzice dopiero co się obudzili, babuszka cichutko rozmawia z Lubą.

Zamykam drzwi. Sąsiedzi już powstawali, ktoś słucha radia, ktoś się denerwuje, że zasnął.

Pierwszą kartkę przyklejam w windzie.

Drugą – na drzwiach sąsiedniej klatki.

I tak z taśmą i nożyczkami obiegam najbliższą okolicę, a nawet wpadam na siłownię pod chmurką. To jedno z bardziej popularnych miejsc.

Wchodzę do szkoły nieco zziębnięty, dopiero teraz czuję, że boli mnie jeszcze tu i tam, prawa łopata, szyja, ucho. Ale to nic.

Zdejmuję kurtkę, zmieniam buty. Bartka ani śladu. Może czeka na schodach. Teraz już wiem, że to tchórz.

Ale nie ma. Pewnie coś knuje.

Tak czy siak, w szatni też powinienem przykleić kartkę. I na drzwiach sali gimnastycznej.

– A co to za akcja ?

Tuż obok jak spod ziemi wyrasta nasz wuefista. Zwany Sprężyną.

– Moja – odpowiadam.

– Gościnność – czyta. Kiwa głową z aprobatą. – Sam to wymyśliłeś?

– Sam.

– A co to się stało z twoją twarzą? – pyta.

– Różnica zdań – mówię. I nagle zaczynam się zastanawiać, jak wygląda Bartek. Przecież musi jakoś wyglądać.

Od dalszych pytań ratuje mnie dzwonek. Biegnę korytarzem, potem po dwa stopnie w górę.  
I co widzę?

Pod klasą stoi Bartek. Lewe oko podbite, dolna warga jak wysunięta szuflada. Całkiem inaczej niż u mnie.

Nie odzywa się słowem. Też się nie odzywam. Czyżby zawieszenie broni? Bo z pewnością nie pokój.

To nie w jego stylu.

Przechodzę obok niego, gotowy na to, że podłoży mi nogę albo popchnie. Aż mnie bolą mięśnie.

– Widzę – mówi ironicznie nasza wychowawczyni (trzeba mieć pecha, bo to lekcja wychowawcza) – że i tutaj...

Przerywa jej trzask dochodzący z głośnika. Pewnie będzie mowa o Dniu Wagarowicza, ale nie. Głos Sprężyny poznałbym na końcu świata.

– Chciałbym się z wami czymś podzielić. Coś wam przeczytam.

Nie trzeba mieć specjalnej wyobraźni, żeby się domyślić, że Sprężyna puści w eter treść kartki którą powiesiłem na drzwiach sali gimnastycznej...

Nagle robi się bardzo cicho.

– Gościnność to coś więcej niż zaproszenie kogoś do domu. Gościnność to szacunek dla tych osób. Wiem, że woleliby być we własnym domu, spać we własnym łóżku. Ale nie wiadomo, czy ten dom jeszcze jest. Czy jeszcze jest to łóżko. Pamiętaj o tym, że nie są żebrakami. Jeśli chcesz im coś ofiarować, zadbaj, żeby to było kompletne. Albo nowe. Niech w układance nie zabraknie kawałka, a ubrania będą czyste. Nie czekaj, że ktoś będzie ci bez przerwy dziękować. To jest gościnność. A jeśli robisz to dla lansu, to daj sobie spokój.

Wychowawczyni kiwa głową i uśmiecha się. Nie ma pojęcia, jak się męczyłem, żeby to napisać z sensem.

– Nie możecie tego zobaczyć – ciągnie już własnymi słowami Sprężyna – ale to słowo zostało podzielone na dwa. Gość i inność. Nie można być gościnnym inaczej.

Aż mnie zatkało. To ci dopiero... filozof. Mój ojciec byłby wniebowzięty. To ci Sprężyna, specjalista od przysiadów, jak nazwał go kiedyś Bartek.

Głośnik milknie.

– A ja wiem, kto to napisał – wrywa się Iwona.

Rzucam jej błagalne spojrzenie. Nieee. Proszę.

– On. – Palec Iwony z paznokciem, z którego odchodzi jaskraworóżowy lakier (oj, będzie kolejna uwaga do dzienniczka...) wskazuje na mnie. – Widziałam, jak rano rozklejał to po osiedlu.

Gapią się na mnie. Trzymam wysoko głowę, żeby każdy mógł zobaczyć moją pokancerowaną twarz.

– Sam to wymyśliłeś? – Wychowawczynie z niedowierzaniem kręci głową.

– Sam – odpowiadam.

– A ja mam taki pomysł – woła Magda – żeby zrobić taką akcję... sprawdzać czy to, co przynoszą do szkoły, się nadaje.

– Teraz już pewnie wiedzą, czego nie należy robić – mówi Jacek.

– Fajnie to wymyślił – dodaje Iwona.

A ja nie mówię nic. Myślę o tym, że kiedy się to wszystko skończy, babuszka i Luba zabiorą Lusię i wrócą do siebie, i nagle zrobi się pusto.

Jakoś tak przyrosły do nas. Jakby były od zawsze.

Ale dobrze, niech ten pokój będzie pusty, żeby nigdy nie był nikomu potrzebny. To znaczy – mówię o wojnie. Żeby nikt sobie nie pomyślał, że zrobiłem się niegościnnie.